

STANISŁAW BUDA

CZAS W PRZEDMIOTACH - PRZEDMIOTY W CZASIE

„Czym wła ciwie jest czas? - zapytał Hans Castorp i prze-
gi ł tak silnie swój nos, e koniec zbielał i cała krew ze uciekła”.

T. Mann: *Czarodziejska góra*

Spróbujmy przemy le elementarne zwi zki zachodz ce pomi dzy cza-
sem i niektórymi przynajmniej przedmiotami, wychodz c od takiego pojmo-
wania czasu oraz rzeczy, zdarzenia i procesu, jakie prezentuje w swych on-
tologicznych analizach Roman Ingarden.

1. „Czasowe okre lenie” przedmiotów. Wła nie rzecz (tzw. przedmiot
trwaj cy w czasie) oraz zdarzenie i proces s dla Ingardena przedmiotami
„czasowo okre lonymi”. Na czym jednak miałyby wła ciwie polega ich
szczególna wi z czasem, tego, jak s dz , nie zdołał on zadowalaj co wy-
ja ni . Oczywi cie, czasowe okre lenie nie mo e zasadza si na mo liwo ci
usytuowania przedmiotu na osi miary czasu. Wprawdzie zdarzenia, procesy
i rzeczy mo na wzajemnie odnosi w kategoriach „przed”, „równocze nie”
i „po”, lecz tutaj pytamy o to, co wła nie umo liwia takie ich porównywanie.

Rzeczy i procesy rozumie si zwykle jako rozci gaj ce si w czasie, zaj-
muj ce pewien przedział czasowy. Na czym jednak miałyby polega czasow-
o zdarzenia? Zdarzenie na pewno nie trwa. W dodatku co , co nie posiada
najmniejszej cho by rozci gło ci czasowej zdaje si nie mie w wicie re-
alnym prawa bytu. Punkt geometryczny jest bezwymiarowy i aczasowy - ale
te nie jeste my skłonni przyznawa mu istnienia realnego. Zdawałoby si ,
e o zdarzeniu mo na jedynie powiedzie , e zaistniało, zaszło lub e zaj-
dzie, nigdy za , e wła nie istnieje czy zachodzi. Ale je li mówimy o czym
w czasie przeszłym czy przyszłym, musi ono równie posiada swój czas
tera niejszy. Tera niejszo zdarzenia jako czasowego punktu analogicznego
do punktu na osi kontinuum jest jednak nie do pomy lenia. Czym mogłoby
by wypełnione punktowe *teraz*? Słuszna wydaje si w tym miejscu sugestia
Ingardena o „kwantowo ci czasowej” wi cej si ze zdarzeniem chwili,
która tym samym nie stanowiłaby „ani punktu, ani odcinka czasowego”.
Zdarzenia odznaczałyby si tym, e „s na wskro aktualne, ale za to istniej
w obr bie tylko *jednej* tera niejszo ci i tym samym bior w siebie *jedno* tej
tera niejszo ci”¹.

¹ R. Ingarden: *Spór o istnienie wiata*, t. I. Warszawa 1987, s. 190-192.

We my takie, zdawałoby si wzorcowo „punktowe” zdarzenie, jak *pokrycie si poruszaj cego si po okr gu punktu materialnego z okre lonym punktem na tym okr gu*”. Mo na by s dzi , e zdarzenie to - inaczej ni takie zdarzenia, jak „powstanie pa stwa polskiego” czy cho by „bitwa grunwaldzka” - mo na bez trudu skorelowa z pewnym punktem czasowym, analogicznym do punktu na osi liczbowej. Tymczasem, bez pewnych dodatkowych informacji nie jest wcale oczywiste na przykła d to, czy wspomniany materialny punkt nie pozostanie w interesuj cym nas punkcie okr gu przez *jaki czas*, czy si po prostu nie zatrzyma. W tpliwe jest w ogóle, czy fizyk byłby skłonny - wła nie bez pewnych dodatkowych informacji - nazwa zdarzeniem owo „*pokrycie si ...*”. Zapyta on pewnie o ukła d sił oddziałuj - cych na poruszaj cy si po wspomnianym torze punkt, o jego p d, o charakter tego ruchu i by mo e o inne jeszcze rzeczy. Wydaje si mianowicie, e je li na owym punkcie okr gu nie zdarzy si w zwi zku owym ruchem nic szczególno go (mogłoby tu chodzi o tak zmian jakiego jego parametru, która uskutecznia now jego cech czy wła sno), wówczas trudno byłoby tu w ogóle mówi o zdarzeniu, przynajmniej z punktu widzenia fizyki.

Ingarden okre la zdarzenie jako *zaj cie stanu rzeczy*. Ten ostatni stanowiłby odpowiednik zdania orzekaj cego o przedmiocie (na pewno o rzeczy, mo e równie o procesie, ale chyba ju nie o zdarzeniu) jak jego wła sno czy cech (bycie takim a takim tego tu oto X-a). Stan rzeczy mo e trwa w czasie, podczas gdy zwi zane z nim zdarzenie odchodzi w przeszło , przemija. Czym e jest wi c *zaj cie stanu rzeczy*, je li jego tre ci nie mo e by tre wprowadzanego przez nie stanu? Nie jest po prostu jego zaistnieniem, gdy , jak si wydaje, zaistnie mo e jedynie przedmiot, m.in. zdarzenie (chocia najcz ciej mówi si wła nie, e jakie zdarzenie zaszło). W innym razie trzeba by wyra nie rozró ni zaistnienie przedmiotu i zaistnienie jakiej jego wła sno ci czy cechy. Z drugiej strony, zaistnienia przedmiotu nie mo na uto samia ze zdarzeniem, gdy to ostatnie samo w sobie musi posiada przedmiotow form i zawiera jak przedmiotow tre .

Wydaje si wi c, e *zaj cie stanu rzeczy* konstituuje si jako pewien *kontekst* wej cia przedmiotu w ów stan. Podczas gdy stanowi rzeczy odpowiada w naszym przykła dzie okre lenie *pokrywanie si*, jego *zaj ciu* odpowiadałoby raczej *pokrycie si*. To ostatnie wyra enie wskazywałoby na dynamiczny charakter zdarzenia, na sam jako ciowo *wydarzania si* zmiany. Pytanie jednak, czego zmiana ta dotyczy: przedmiotu, który wyst puje w charakterze no nika interesuj cego nas stanu rzeczy, czy mo e innego przedmiotu? W naszym przykła dzie chodziłoby zapewne o zmian którego z parametrów *procesu*, jakim jest zasygnalizowany w nim ruch. Aby wspomniane *pokrycie si* było w nim naprawd zdarzeniem, musi konstituowa si

tak, aby stanowiło we jak kulminację, przełom, wyznaczało jak jego fazę. Jakiegoś wniosku odnośnie do procesów w ogóle?

2. Zdarzenia a procesy. Według Ingardena, w każdym procesie „należy rozróżnić z jednej strony całą fazę, która nieustannie rośnie dopóki proces się rozgrywa, z drugiej zaś przedmiot konstytuujący się w tych fazach z biegiem czasu jako szczególny podmiot własny, stanowiący dany proces”². Zakłada to już pewne rozumienie czasu, a dokładniej jego doświadczenie. Takie mianowicie, „według którego teraz niejszo (*resp.* to, co teraz niejsze) wprowadzi odróżnienie się aktualnie od przeszłości (od tego, co przeszłe) i od przyszłości (od tego, co przyszłe), w którym jednak ani to, co przeszłe, ani to, co przyszłe, nie jest bezwzględnie nic”³. Sam proces jako podmiot rozgrywa się w czasie, pozostając aktualnym (choć jeszcze niezupełnie indywidualizowanym) od pierwszej do ostatniej ze swoich faz, mimo że w każdym momencie jego trwania aktualna jest tylko jedna, najnowsza faza.

Jak to się jednak dzieje, że każda z faz odsyła do całej ci procesy, co więc, istnieje on w każdej z nich? Bo przecież nie jest tak, że przesuwa się on od początku do końca przez szczelinę teraz niejszo, jak poszczególne klatki taśmy filmowej przez obiektyw projektora. Wiemy, że do wytworzenia złudzenia jednego ekranowego ruchu nie potrzeba wcale niezastopionej klatki, tylko tej z setki i tysięcy takich klatek filmowej taśmy. Dlatego rozgrywa się na ekranie akcja bez dzieła tylko złudzeniem procesu, nawet gdyby był to ekran telewizora i gdyby oglądane wydarzenia były transmitowane „na żywo”. Ingarden mówi w związku z tym o stopniowym *wzrastaniu* całej ci fazy procesu, o *rozwijaniu się* każdej nowej jego fazy z fazy właśnie nie przemijającej, o *przedłużaniu się* każdej z nich (z wyjątkiem ostatniej) w jego dalszy ciąg, o *wyłanianiu z siebie* przez to, co traci aktualność tego, co już tym samym zyskuje, o *dopełnianiu* tego, co tylko się zapowiadało, przez to, co się właśnie aktualizuje. Nie zadowala to jednak jako odpowiedź na postawione pytanie. Szczególnie cenne dla dalszych analiz wydają mi się natomiast takie spostrzeżenia Ingardena, jak to, że „nie każdemu byciu aktualnym prowadzi do przeminięcia, lecz tylko całkiem *specjalny* sposób aktualizowania, który jest najcięższy związany z rzeczywistością i prowadzi do tworzenia teraz niejszo i przemiany jej w przeszłość, a tym samym prowadzi do czasowości”⁴ albo to, że „teraz niejszo - choć wciąż nowa - wydaje się wciąż jakby ta sama, pozostając, cała, nieruchoma”⁵.

Zaproponujmy nieco odmienne niż u Ingardena rozumienie procesu. Niech składa się on z następujących po sobie faz, ale niech istnieje jako

² Tamże, s. 194.

³ Tamże, s. 196.

⁴ Tamże, s. 197, przypis 22.

⁵ Tamże, s. 204, przypis 31.

całkowicie zindywidualizowany (jak rzecz) ju od pierwszej z nich. Ka d z faz wyznacza pewne nieprzypadkowe ze wzgl du na dany proces, współkonstytuuj ce go zdarzenie. Wszystkie te zdarzenia wi e z pewno ci to, e zachodz w jednym, umo liwiaj cym ich determinowanie si układowie, ale ich dobór i uporz dkowanie zale od tego, e współkonstytuuj wła nie jeden przedmiot. Oczywi cie, rozgrywaj cy si proces mo e zosta przedwznie nie przerwany i wówczas maj ce nast pi kolejne jego fazy nigdy nie nast pi , ale nie przekre la to jego samego, nie oznacza, e w takim razie jego samego nigdy nie było. Był, zachodził, cho nie dobiegł ko ca. Z drugiej strony odrzucam te , jak wida , mo liwo procesów niesko czonych w tym znaczeniu, e nie byłaby w nich przewidziana jaka ostatnia, dopełniaj ca faza. Jednak odpowied na pytanie, co wła ciwie ostatnia z faz miałaby dopełnia , nie wydaje si prosta. To, e proces nie dobiegł jeszcze ko ca, nie znaczy, e nie jest on w pełni procesem, przedmiotem. W zwi zku z tym, nie mo e mu po prostu brakowa jakiej grupy własno ci. Gdyby jednak utrzymywa , e ostatnia z faz dopełnia jednak w jakim sensie proces, nale ałoby wytłumaczy , dlaczego dopełnia go ta wła nie faza i dlaczego po jej nast -pieniu proces si ko czy.

Spróbujmy przyj taki model, w którym ka dy proces rozci ga si potencjalnie pomi dzy dwoma nie nale cymi do niego, wyznaczaj cymi go niejako z zewn trz zdarzeniami. Pierwsze z nich inicjuje go, drugie stanowi jego efekt. Pierwsze jest oczywi cie warunkiem *sine qua non* procesu; natomiast warunkiem *sine qua non* drugiego jest rozegranie si procesu do ko ca. Proces, któremu uniemo liwiono rozegranie si do ko ca pozostanie niedoko czony, a mimo to zachowa sw to samo okre lan m. in. przez zdarzenie, które miało stanowi jego efekt. Gdyby doszło do zrealizowania si ostatniej z faz procesu, zdarzenie to zaszłoby, wraz z ni , niejako automatycznie. Mo na to rozumie w ten sposób, e zdarzenie wyznaczaj ce ostatni z faz procesu dopełnia zbiór warunków skuteczniej cych i współkonstytuuj cych owo zdarzenie-efekt. Zauwamy, e pozostałych elementów takiego zbioru nie mo na upatrywa w zdarzeniach wyznaczaj cych wzniejsze fazy procesu, gdy wszystkie te zdarzenia współkonstytuuj wła nie ów proces. Dlatego zdarzenie stanowi ce efekt procesu sytuuje si na innym ni tamte, nadrz dnym wzgl dem nich poziomie. Analogicznie nale ałoby widzie zdarzenie inicjuj ce proces, z tym, e to z kolei sytuowałoby si wzgl dem tamtych zdarze na poziomie ni szym. Przykładowo:

Z₅ (zdarzenie-efekt procesu)

Z₂, Z₃, Z₄ (zdarzenia wyznaczaj ce fazy procesu)

Z₁ (zdarzenie inicjuj ce proces)

Intuicja podpowiada, że Z_1 musi być równoczesne z Z_2 , a Z_4 - z Z_5 . Natomiast Z_2 , Z_3 i Z_4 , podobnie jak Z_1 i Z_5 następują po sobie w czasie. Spróbujmy to wyjaśnić posługując się koncepcją zdarzenia składowego.

3. Zdarzenie a tera niejszo . Określamy zdarzenie składowe zdarzenia Z jako jedno ze zdarzeń, o których można powiedzieć, że stanowi grupę jego dopełniających się wzajemnie warunków koniecznych. Zdarzenie składowe zdarzenia składowego Z nie jest składowym Z . Zdarzenie inicjujące proces należałoby do składowych zdarzenia wyznaczającego pierwszą z jego faz, natomiast zdarzenie wyznaczające ostatnią jego fazę - do składowych zdarzenia, które nazwalibyśmy efektem procesu. Tera niejszością tego zdarzenia składowego Z konstytuują się ze względu na Z , tera niejszo Z konstytuują się ze względu na zdarzenie, którego Z jest zdarzeniem składowym.

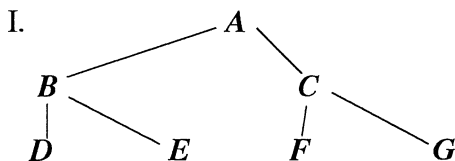
Dlaczego jednak nie przyjąć prostszej, zdawałoby się, koncepcji, przy której zdarzenie Z inicjowane jest wprawdzie przez pewne inne zdarzenie, jednak nie dołącza ono do (innych) zdarzeń składowych lecz natrafia na pewien sprzyjający zjawiskowi Z stan rzeczy, względem którego ma się jak przysłowiowa iskra do beczki prochu? Zdawałoby się, że wówczas procesy zdarzenia składowego nie byłyby w ogóle potrzebne. Rodzi to jednak rozmaite trudności. Okazuje się na przykład, że wspomniany stan rzeczy i zdarzenie inicjujące mogłyby być zupełnie przypadkowe nie tylko ze względu na siebie, lecz również ze względu na Z : zdarzeniem inicjującym wybuch beczki z prochem nie musi być akurat iskra; sama zaś iskra ma się nijak do beczki z prochem, chyba że weźmiemy pod uwagę zdarzenie „zetknięcie się iskry z magazynowanym w beczce prochem”, które byłoby już wyraźnie współkonstytuowane przez ów sprzyjający wybuchowi, a trwający już od pewnego czasu stan rzeczy. Wówczas zresztą również dobrze można by utrzymywać, że wybuch owej beczki i padnięcie na iskry, to w istocie jedno i to samo zdarzenie. Gdyby twierdził, że zdarzenie inicjujące Z zachodzi na poziomie zależności zjawiskowego jego mechanizmu, wówczas albo przynależałoby ono do samego tego mechanizmu - który można nazwać modelem Z - albo też nie należałoby do niego. W przypadku pierwszym, z braku innych zdarzeń tej samej rangi, konstytuowałoby ono Z , a więc byłoby od niego nieodróżnialne. W przypadku drugim niewyjaśniona pozostawałaby relacja inicjowania Z .

Powróćmy więc do koncepcji wielu zdarzeń składowych Z . Przyjmijmy, że dopełniają się wzajemnie, wyczerpują one wspomniany wraz z nim, bo skuteczniej jest, substrukturę, model. Jednak koncepcja zdarzenia wyróżniającego się spośród zdarzeń składowych Z tym, że ostatecznie dopełnia ono ich zbiór i tym samym bezpośrednio skutecznia Z , zawiera pewien paradoks. Zdarzenie to nie może być równoczesne względem jakieg-

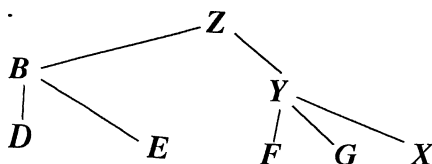
gokolwiek z pozostałych zdarzeń składowych Z (to ostatnie zachodziłoby przecie dopiero wraz z nim), a przecie zachodzi w tej samej, co one, konstytuującej się właśnie ze względu na Z teraz niejszo ci. Ewentualnie, eka de ze zdarzeń składowych Z jest z własnej perspektywy ostatnim z nich, należy odrzucić - taka relatywizacja nic by nie wносиła, a sama wymagałaby wytłumaczenia. Na nic zdałaby się ta sugestia, eka de ze zdarzeń składowych zachodzi równocześnie z pozostałymi (zresztą w takim wypadku wszystkie one stanowiłyby z perspektywy zdarzenia Z jedno zdarzenie, które *de facto* uto samiałoby się z nim). Pozostaje więc przy hipotezie, e składowe jednego zdarzenia po prostu nie są wzajemnie równoczesne, a bymo e w ogóle nie są pod tym względem porównywalne, mimo e teraz niejszo eka de go z nich (i same te zdarzenia) konstytuują się właśnie ze względu na to zdarzenie. Teraz niejszo pojmujemy si zwykle jako klas abstrakcji relacji równoczesności w zbiorze zdarzeń wytworzonych dorazowo przez jedno z nich - jednakowoż takie jej rozumienie należałoby tu właśnie zakwestionować.

4. Nastęstwo zdarzeń. Zastanawiamy się nad wzajemnym ustosunkowaniem różnych teraz niejszo ci stwierdzamy, e nie można na ich pojmować jako następujących jedna po drugiej. Nie miałoby więc sensu konstataowanie kolejności jednego „teraz” i rozpoczynania się następnego. Trzeba również odrzucić model teraz niejszo ci jako „szczeliny”, przez które przepływałyby kolejne zdarzenia - przyjmijmy wszak, e teraz niejszo jest funkcją zdarzenia, a zdarzenia „mieszczą się” w teraz niejszo ci - choć nie są względem siebie równoczesne - nie zachodzą w niej kolejno, lecz raczej są w niej współłobeczne.

Naszym zadaniem jest wyeksplikowanie za pomocą koncepcji zdarzeń składowych (a przede wszystkim zdarzenia zwanego dalej po prostu *dopelniającym*) takiego zdarzenia, które można nazwać *nowym* względem pewnego innego zdarzenia, a dalej - zdarzeń *wcześniejszych* i *późniejszych*. W związku z tym rozpatrzmy dwie następujące sytuacje:



Zdarzenia B i C są składowymi zdarzenia A , zdarzenia D i E - składowymi B , zdarzenia F i G - składowymi C .



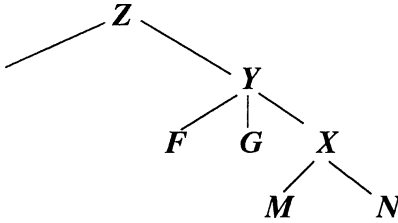
Sytuacja różni od pierwszej zdarzenie Z w miejscu zdarzenia A, zdarzenie Y w miejscu C oraz zdarzenie X.

Z naszych założeń wynika, że sytuacja druga może być transformacją pierwszej, natomiast kolejno odwrotna nie jest możliwa. Zdarzenia A i C można określić jako *przemijające* w związku z zajściem Z i Y, zaś zdarzenie Y można uznać za zdarzenie *nowe* względem B, a X - za *nowe* względem F i G. Przyjęta wyżej koncepcja zdarzeń składowych wyklucza *przeminięcie* jednego z nich w związku z zajściem zdarzenia *nowego*. Taki model czasowej transformacji zdarzeń nie byłby jednak zadowalający.

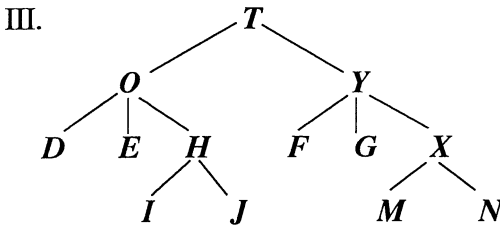
Poziom, na którym usytuowane są zdarzenia D, E, F, G oraz X spróbujemy określić jako najbardziej *elementarny* substrukturalnie poziom naszego systemu⁶. Pojawia się jednak pytanie, w jaki sposób zdarzenia takiego poziomu mogłyby w ogóle *przemijać*? Jeśli bowiem *przemijanie* zdarzenia dokonuje się w związku z zajściem zdarzenia *dopełniającego* zdarzenie względem niego *nowe*, zdarzenie zwane *dopełniającym* musi być usytuowane na jeszcze bardziej elementarnym poziomie tego systemu; w przeciwnym razie zdarzenia składowe zdarzeń z takiego elementarnego poziomu musiałyby być ze względu na rozpatrywany system przypadkowe, co chcemy tutaj wykluczyć. Wydaje się zresztą, że skoro każde zdarzenie posiada konstytuujące jego substruktur zdarzenia składowe, to ilościowo wyznaczanych w ten sposób subpoziomów powinna być efektywnie nieskończona, a pojęcie poziomu elementarnego nie ma sensu. Może więc nie należy wyróżniać poziomu elementarnego albo też jest on elementarny tylko w jakimś względnie sense? Sądząc, że właśnie ta ostatnia możliwość podpowiada właściwe rozwiązanie.

Można mianowicie mówić o zdarzeniach przypadkowych ze względu na nasz system i zdarzeniach nieprzypadkowych, wchodzących w jego skład. Zdarzenia poziomu elementarnego są skuteczniane przez zdarzenia nie wchodzące już do systemu. Jednak każde zdarzenie *nowe* na tym poziomie (w naszym przykładzie X) wiąże się z włączeniem w system nowego subpoziomu, na którym usytuowane są zdarzenia stanowiące jego składowe. Mogłoby to wyglądać tak:

⁶ Granice takich systemów pokrywałyby się, jak się zdaje, z granicami najogólniejszych dziedzin przedmiotowych.

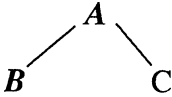


W tym momencie system posiadałby cztery poziomy. Na poziomie elementarnym sytuowałyby się tylko dwa zdarzenia: *M* i *N*. Schemat ten stanowiłby właściwy obraz sytuacji oznaczonej w jej liczbie II (nie za jakiej kolejnej). W tej konwencji inaczej te musiałyby wyglądać sytuacja oznaczona jako I. Należałoby z niej usunąć zdarzenia *D* i *E*, choćby może kolejna sytuacja uwzględniłaby je:

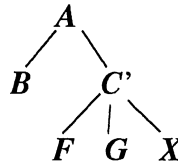


Taki model tłumaczy wprowadzenie *przemijanie* zdarzeń, z różnymi jednak względu jest nie do przyjęcia. Teraz nie są to zdarzenia mogłyby konstytuować się w nim ze względu na różne, kolejno następujące po sobie zdarzenia (np. teraz nie są to zdarzenia *G* konstytuują się najpierw ze względu na *C*, następnie ze względu na *Y*). Każde nowe zdarzenie wiązałoby się z istotną restrukturyzacją wszystkich poziomów systemu, co powodowałoby, że zamiast modelu upływu czasu mielibyśmy do czynienia z szeregiem niewytłumaczalnych, skokowych zmian. Aby temu zaradzić wprowadzamy najpierw pojęcie *zdarzenia-modyfikacji* zdarzenia *Z*, które nazwiemy krótko *modyfikacją Z*, a oznaczmy *Z'*. Polega ona na „przerobieniu” całej jego postaci. *Z'* różni się od *Z* posiadaniem dodatkowego zdarzenia składowego. Załóżmy teraz, że *modyfikacja Z* nie musi się wiązać z *modyfikacją* zdarzenia, ze względu na które konstytuują się *Z* i jego współskładowe, natomiast niektóre *modyfikacje* mogą te oznaczać całkowitą restrukturyzację systemu. Oto więc jeszcze raz możemy następujące po sobie sytuacje:

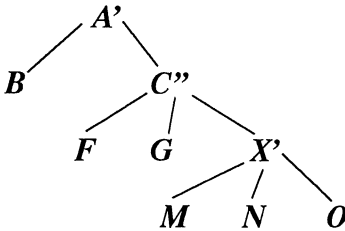
I.



II.



III-1



Sytuacja III przedstawiona jest na dwa sposoby. Oba z nich dotyczą jednego i tego samego: zajcie zdarzenia O jest równoznaczne ze zmianą III - 1, która w naszym przykładzie okazuje się równoznaczna ze zmianą III - 2. Stanowi one w istocie jedno zdarzenie, które można wyrazić (skonceptualizować) na dwa powyższe sposoby. Oczywiście, zmiany w tym systemie mogły postąpić inaczej. Jednak najwyższy jego stopień musiał być i będzie nadal wyznaczany przez modyfikacje, do których stosuje się jeden symbol (tutaj: A).

Można by się, z motorem ewolucji systemu zdarzenia z najniższych jego poziomów: zdarzenie *dopełniające* sytuuje się zawsze na poziomie wyższym, i wszak to ono zdaje się ostatecznie uskutecznić zdarzenie na stopniu wyższym. Uskuteczniania nie mylmy jednak z inicjowaniem. O tym, które ze zdarzeń nie posiadających w systemie swoich składowych zostanie w najbliższym czasie zmodyfikowane (w sytuacji oznaczonej ostatnio numerem I mogłyby to być: B lub C ; w sytuacji II - B, F, G lub X) nie może być decydującym przypadkiem. Wszelkie więc zmiany systemu, uskuteczniane przez odpowiedni dobór modyfikacji na poziomach najniższych, muszą być sterowane z poziomów najwyższych. Gdyby jednak na tym poprzestała ewolucja wyrażająca się szeregiem modyfikacji zdarzenia z poziomu najwyższego nie byłaby w istocie ukierunkowana. Aby i tu wykluczyć przypadek, ostateczna racja zdarzenia musi sytuować się poza ich systemem.

5. Ontologia czy antropologia? Sugerowałem, że granice systemów zdarzeń pokrywają się z tym, co bywa określane jako dziedziny przedmiotowe. Dziedziny takie mogą być rozumiane jako wyznaczone przez teorie naukowe. Pytanie o jeden uniwersalny czas, o to, czy między zdarzeniami opisywanymi w językach rozmaitych nauk szczegółowych zachodzą jakie relacje temporalne, jest w istocie pytaniem o możliwość takich metasystemów, które grupowałyby już nie same zdarzenia, ale całe ich systemy. Chodziłoby o możliwość wzajemnego odniesienia czasu fizycznego, biologicznego, psychicznego, społecznego itd. Wprawdzie na co dzień „arbitrem” bywa dla nas fizykalna *rachuba* czasu, ale jest to podyktowane wygodą korelowania rozmaitych stanów rzeczy ze stanami fizykalnymi. Redukcja wszystkich dziedzin do jednej z nich jest wykluczona - taka elementarna dziedzina musiałaby się utożsamiać z samą *rzeczywistością*, a przynajmniej ze *wiatem realnym*, a te są wszak kategoriami filozoficznymi.

Racja modyfikacji, ze względu na które konstytuowałyby się wszystkie inne zdarzenia musi znajdować się w każdym razie poza obejmującym je metasystemem. Odpowiedź na pytanie o czas w przedmiotach domaga się więc, jak się zdaje, pewnych rozstrzygnięć dotyczących *transcendowania* i umożliwianej przez podmiotowej aktywności, polegającej na konstytuowaniu przedmiotów. Wymaga więc co najmniej odwołania się do *antropologii filozoficznej*. Takie kategorie, jak *czas*, *tera niejszo*, *przeszło* czy *przyszło* presuponowałyby już filozoficzne teorie człowieka. Czas ludzki, nawet jeśli nie byłby jeszcze czasem w najbardziej podstawowym filozoficznie znaczeniu, byłby na pewno czasem bardziej zasadniczym (*resp.* bardziej podstawowym czy pierwotniejszym) niż np. czas fizykalny. Oczywiście, czasu ludzkiego nie można utożsamiać z czasem *stricto* psychicznym; jego teoria musi uwzględniać szersze aspekty jego przeżywania przez osobę ludzką, ale i decydujący o nim cały społeczny kontekst, wyrażający się w kategorii *historia*⁷.

Natomiast analizy dokonywane w taki sposób i w takich granicach, jak czynili my to wcześniej (abstrahując już od ich niepełności, *resp.* poprawności), pozwalają jedynie na pewne wnioski odnośnie do rozumienia poszczególnych typów przedmiotów *czasowo określonych* i zachodzących pomiędzy nimi relacji. Dają jednak wąską perspektywę (inną nie podejmowaną zwykle analizą logiczno-metodologiczną), w której czas postrzegany jest jako zakorzeniony w samej istocie niektórych przynajmniej przedmiotów.

⁷ Por. np. St. Buda: *Między filozofią a historią*. „Kwartalnik Filozoficzny” 1998, z. 2, s. 187-205.